

TYGODNIK SUWAŁSKI

WYCHODZI CO PIĄTEK.

CZYTELNI NADKOW
W SUWAŁKACH

CENA PRENUMERATY:

W Suwałkach. Rocznie 5 rbl. Kwartalnie 1 rb. 25 kop.
Z przesyłką pocztową „ 6 „ 1 rb. 50 kop.
Cena numeru pojedynczego kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę 12 rbl.; za wiersz na 1-szej stronie 15 kop.
Za wiersz petitowy 10 kop.
Przy kilkakrotnem ogłoszeniu 10% ustępstwa.

Redakcja i Administracja otwarta od godz. 4 do 6 popołudniu.

Adres Redakcji: Suwałki, ulica Ogrodowa № 15.

Od Administracji.

Wobec zbliżającego się końca kwartału i roku uprzejmie prosimy Sz. Panów Prenumeratorów o uregulowanie zaległych rachunków oraz o wnoszenie przedpłaty na rok przyszły.

BIURO PRZEPISYWAŃ  **BIURO OGŁOSZEŃ**
A. Skarzyńskiej  **A. Skarzyńskiego**
WILNO, Tatarska 12.

Szybkie i dokładne wykonanie poleceń.

3-3

4-6

BIURO KOMISOWE T. R. S.
P O L E C A

OTRĘBY PRZEDNIEGO GATUNKU.

Skład Towarzystwa Rolniczego
w WILNIE ul. Zawalna № 9.

Sprzedaż komisowa:

otrąb pszennych, makuchów i kukurydzy
w partjach wagonowych.

Ceny komunikują się odwrotną pocztą.

POLECAMY:

SIECZKARNIE i SIEKACZE oryginalne Bentalla.

Cenniki wysyłamy na żądanie.

3-10

Zarząd Szkoły podaje do wiadomości, że zwykła konferencja Rady Pedagogicznej z rodzicami odbędzie się w nadchodzącą niedzielę—6 b. m. o g. 10 rano.

Zwraca się uwagę na zmianę godziny.

W imieniu Zarządu Zygmunt Gąsiorowski.

W pierwszą Rocznicę.

Dnia 28 listopada r. b. rok mija od chwili, gdy odszedł od nas na wieki Ten, który największym był i duchem najpotężniejszym wpośród swego pokolenia, Ten, co z bólem i goryczą przepelnionej duszy potężną pieśń wyzwolenia wyśpiewał, Ten, którego myślą jedyną, marzeniem ukochanem było „wieść swój naród ku wszechmocy“, Ten, który „z żywymi naprzód iść“ chciał, a widma grobów, jako siły kierujące żywego społeczeństwa, odtrącał.

Wyspiański był więcej niż poetą, był jednym z tych duchów proroczych, jakich wielu krwią i łzami złana ziemia nasza wydała, był nowem ogniwem w łańcuchu szermierzy i wodzów ducha Narodu Polskiego, godnym następcą i bratem młodszym Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, Norwidów.

Od tamtych zgoła odmienny, własnymi słowy i barwy własną treść wypowiadający, miał z nimi jedną cechę wspólną: ukochanie i zrozumienie tajni duszy narodowej, odczucie wieszczce głębi serc współczesnych.

Dzieła jego, szczególnie te z nich, co są jakby syntezą Jego „wielkiej myśli jednej“, jak „Legjon“, „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Akropolis“, stanąć zaprawdę mogą w szeregu świętych ksiąg naszych, obok „Dziadów“, „Nieboskiej“, „Króla Ducha“.

Dziś w pierwszą rocznicę Jego zgonu nie rozdieramy szat, nie roniemy łez próżnych, lecz wczytujmy się w słowa jego pieśni; zrozumienie dzieł wieszczy, Jego dróg i ideałów będzie najtrwalszym pomnikiem, jaki potomność wystawić może pamięci świętej i niezapomnianej genialnego twórcy.

„K. L.“ № 285.

Jan Iwański

Z tawnych strof.

I.

Za chwilę ciszy, za chwilę
Bezbrzeżnej mogilnej głuszy,
Oddałbym wszystkie swej duszy
Młodzieńczych marzeń motyle—
Za chwilę ciszy, za chwilę.

* * *

*Za chwilę ciszy, za chwilę
Wytchnienia znekanej duszy,
Przeniósłbym lata katuszy
I cicho ległbym w mogile—
Za chwilę ciszy, za chwilę.*

II.

*O, dni minione, o dni bezpowrotne!
O mego szczęścia motyłu świetlany!
Wyscie mię wiodły w kraj cudów nieznanym
Przez snów młodzieńczych obrazy zawrotne,
Lecz dziś już serca krwawiącej się rany
Nie goją szczęścia promienie ulotne,
Więc oplakuję te dni bezpowrotne,
I przez łzy patrzę na szczęścia kurhany.*

*O, dni minione, o dni bezpowrotne!
O mego szczęścia motyłu świetlany!...*

Marjan Krippendorf.

Rzut oka na ośmioletnią działalność Tow. Rolniczego Suwalskiego, jej skutki i wskazania na przyszłość.

(Ciąg dalszy).

Nieurodzaj kartofli w naszej gubernji również powołał do życia akcję ratunkową, która powstała w celu niesienia pomocy naszej młodszej braci—włościanom. Oprócz tych akcji zaznaczyć należy czynny udział członków w utworzeniu funduszu: na kształcenie młodego agronoma oraz na pomoc sąsiadowi, dotkniętemu klęską pomoru bydła. W tymże 1903 roku powstaje, może pod wpływem odczytu p. A. Świdry o samopomocy, myśl założenia dla członków Towarzystwa Kasy pożyczkowo-

oszczędnościowej. Podanie, zrobione w tym celu do władz wyższych, pozostało jak i wiele innych bez skutku, ale myśl nie zginęła.

Ze skrzynki zapytań wylania się projekt stworzenia Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, który, przechodząc rozmaite koleje losu, ucieleśnił się w istniejącej obecnie, a założonej w roku 1907 instytucji.

W tychże pierwszych latach istnienia naszego Towarzystwa ujrzało światło dzienne rozwijające się coraz pomyślniej biuro komisowe. Ono właśnie wraz z Towarzystwem Wzajemnego Kredytu będzie najtrwalszym pomnikiem praktycznych zapoczątkowań minionej doby. Olbrzymia ilość projektów oraz różnorodność podjętych prac przy słabej stosunkowo ilości wykonawców wyczerpują energję gorętszych jednostek, ale Towarzystwo posuwa się naprzód, istnieje i żyje siłą nabytego za lat poprzednich rozpędu. Niemniej jednak już w 1904 roku daje się odczuwać osłabienie zapału i pewnego rodzaju ociężałość, której rezultat ujawnia się w końcowych słowach sprawozdania za rok 1904, następującej treści: „O działalności delegacji przy naszym Towarzystwie sprawozdań nie otrzymano, można jednak z ubolewaniem zaznaczyć, że delegacje ani kroku naprzód nie zrobiły, z wyjątkiem jednej—statystycznej.“

Złote czasy Towarzystwa minęły—czy bezpowrotnie? Czy duch i zapał, które ożywiały pierwszych uczestników, spaliły się na popiół, czy tylko przygasły, aby w odpowiedniej chwili z nową siłą wybuchnąć—przewidzieć trudno. Ze smutkiem jednak zaznaczyć należy fakt aż nadto widoczny, żeby go można było ukryć, że na miejsce dawnych sił, które z latami się wyczerpują—nowych młodych nie przebywa wcale.

Zmęczony kilkoletnią wyczerpującą pracą dotych-

ALBIN JACHONDOWICZ.

F E L E K.

Nowela.

Panu Józefowi Lewickiemu.

Zatrzymała się. Było już zupełnie ciemno i cicho, tylko zegar głośno powtarzał swoje tik-tak. Staruszka ukryła twarz w dłoniach i zdawała się tłumić łkanie. Po jakimś czasie znowu zaczęła mówić.

— Było to, panie, poczucie własnej niemocy w nadaniu myśli kształtu przy silnej gorączce tworzenia, to, na co się uskarżał Słowacki.

— W jesieni powiedział mi, że chciałby kształcić się dalej w Paryżu. Powiedziałam mu, że jeżeli czuje się na siłach, może jechać. Wkrótce odprowadziłam go na stację. Obiecał często pisywać, pocieszał mię jak mógł. Mignęła tylko chusteczka, którą powiewał mi na pożegnanie... Byłam odtąd samotna, ale to nic, bo do tego przyzwyczać się mogłam, lecz serce mi szarpało jakieś złe przecucie. Felek pisywał rzadko. Trzeciego roku przysłał już tylko jeden list w dzień wigilji: prosił mię o przysłanie 300 franków. Gotówka się wyczerpywała. Pobyt Felka w Paryżu dużo kosztował. Musiałam odnajdąć część mieszkania, dawać więcej lekcji, ale pomimo to nie mogłam w tym miesiącu zdobyć się na żadaną sumę. Odpisałam mu, żeby zaczekał parę miesięcy. Czekałam na

odpowiedź z dnia na dzień, nareszcie przestałam czekać.

Jakoś tak w marcu siedzę sobie rano w pokoju, przeglądając kajety swoich uczenic, gdy szarpnięto silnie za dzwonek Służąca otworzyła. Słyszałam głosy—męski i służącej, która broniła komuś wstępu. Wtem otwierają się drzwi i w nich staje z walizą w ręku Felek, zarośnięty, z iskrzącym wzrokiem. Rzucił walizę na ziemię, powiódł niespokojnym okiem po pokoju. Ucałował mię w rękę, dał się pocałować w głowę, ale czułam, że jest nieswój.

— Babka nie przysłała trzystu franków?—zapytał ostrym, metalicznym głosem, jakim nigdy przedtem nie mówił.

— Nie mogłam, moje dziecko—odpowiadam mu. Chciałam się jeszcze tłumaczyć, ale on rzucił się do walizy i po chwili pyta, podchodząc ku mnie z papierem w ręku.

— Czy mieszka tu adwokat Potrzebski?

— Nie wiem, Felu, czy mieszka dzisiaj, dawniej...

Nie słuchał. Już wyszedł z pokoju. Trzasnęły za nim ostatnie drzwi. Do pokoju weszła służąca, chciała coś mówić, ale ją zaraz odprawiłam. Czekałam na niego, nieomal odchodząc od przytomności. Nie przyjął uczenic, tłumacząc się migreną. Było już ciemno, gdy posłałam Manię do pana Potrzebskiego z zapytaniem, czy był tam wnuk. Służąca wróciła zaraz jak wskazywał zegar, lecz mnie się zdawało, że upłynęła wieczność. Felek był u adwokata, odebrał legat na parę-

czasowy prezes Towarzystwa p. Piotr Górski zrzekł się tej godności, a na jego miejsce ogół powołał p. Ignacego Korewę. Zmiana kierownika instytucji nastąpiła w końcu 1904 roku. Nowy rok zapowiadał się bardzo ciężko. Na dalekim wschodzie zbierały się groźne chmury, a błyskawice i gromy odległej burzy, sięgając aż ku nam swymi ognistymi językami, zapaliły pod naszą strzechą tlejącą od wieków nadzieję lepszego jutra, a wraz z nią wyciągnęły z ukrycia tłumione żądze, namiętności i zawiści.

Miejsce dotychczasowych obrad nad kwestjami o charakterze teoretyczno-rolniczym podczas zjazdów ziemiańskich zajęły gorące spory na tle przekonań politycznych. W łonie tej grupy ziemian, która, interesując się losem instytucji, akuratnie odwiedzała zebrania, daje się zauważyć rozłam na tle ugrupowań partyjnych, a chociaż takt przewodniczącego utrzymywał rozprawy w ramach nakreślonego z góry programu, niemniej jednak czuć było, że każdym zbiorowym wystąpieniem kieruje nie dbałość o dobro i interes stowarzyszenia, ale głębiej ukryte motywy, czerpiące swoje źródło w programach ugrupowań politycznych, które ukryte zdala kierowały działalnością obywateli naszego zakątka.

Praca w takich warunkach okazała się niemożliwą. Po roku bezowocnych starań nad zagadnieniami więcej politycznej niż rolnej natury cały zarząd Towarzystwa podał się do dymisji.

Nowa Rada pod kierownictwem prezesa hr. Potockiego stara się zwrócić z drogi, na którą wkroczyło Towarzystwo; podejmuje kwestje, które powinny być zainteresować ogół ziemian; chce zaopiekować się instytucją Sztabińską, projektuje szkoły i fermy wzorowe, ale wszelka inicjatywa ginie w toku obrad, które przyjmują coraz więcej charakter przemówień z katedry do zajętych

inną myślą słuchaczy. Podczas zebrań czuć dziwny chłód, znać, że ludzi tu zgromadzonych łączy jedynie... ściany sali.

Jedyną, ale cenną pamiątką tych czasów jest Szkoła Handlowa polska, wyrosła na tle gwałtownego ruchu młodzieży, jako wyraz konieczności. Stworzyło ją Towarzystwo Rolnicze, a głównie kilku jego kierowników z hr. Potockim na czele.

Pozatem Towarzystwo, jako związek ludzi, ożywionych myślą wspólnej pracy dla dobra swego i kraju, przestało istnieć. Na gruzach wzniosłych pragnień i wielkich nadziei odzywają się jeszcze pojedyncze głosy, jak hasła pobudki na pobojuwisku, ale głosy te giną bez echa, bo pole usłane trupami, a żywi... myślą i duszą odbiegli daleko od sztandaru, który ich ongi skupiał koło siebie.

Rozbici, zniechęceni, bez wiary w lepsze jutro stajemy wobec pytania—co robić dalej? Czy opierając się na dawnym: „jakoś to będzie“ wlec dalej marny żywot bez celu?

Czy sztandar potrzaskać, spalić drzewce, a tkaninę z ukochanym hasłem głęboko ukryć na piersiach i czekać nowej zorzy?

Czy też ścisnąć szeregi dokoła ukochanego sztandaru i pod hasłem pracy dla przyszłych pokoleń polecieć w bój ostatni z wiarą, że trupy nasze będą znały drogę do przekazanego nam w spuściznie przez ojców i dziadów naszych celu?

Co robić?

Odpowiedź nie łatwa—kto pragnie walczyć, musi mieć siły...

Rozejrzmy się po przeredzonych szeregach i zapytajmy siebie samych, czyśmy do walki zdolni, jaki rodzaj walki najwięcej odpowiada naszym siłom i w którą stro-

set rubli, złożony przez jakąś ciotkę, która miesiąc temu umarła (o legacie nic nie wiedziałam), i poszedł. Nie spałam noc całą, nie mogąc sobie znaleźć ani miejsca, ani chwilki spokoju. Nad ranem przyszedł Felek pijany, w obłożonym ubraniu, polecił opłacić dorożkarza i położył się na szezlongu. Gdy wrociliam po kilku minutach, spał mocno. Zdejmując z niego marynarkę, zauważyłam bilet kolejowy z Siedlec do Warszawy, który wypadł mu z kieszeni. Nic więcej nad to, że był w Siedlcach, nie mogłam się dowiedzieć. Wieczorem nazajutrz obudził się i zapytał, czy niema listów. Był jeden z Paryża w bardzo zabrukanej kopercie. Podałam mu go. Nerwowym ruchem rozerwał kopertę i wyjął list. Zauważyłam, że ręce mu drżały. Szybko przebiegł list oczyma, mieniąc się co chwila na twarzy, chwycił się za głowę, chciał biec gdzieś, lecz w tej chwili lekko krzyknął i upadł na ziemię. Zawołany lekarz stwierdził, nie pamiętam już jakie, porażenie. W pośpiechu zapomniłam o liście, który Mania gdzieś wyrzuciła. Poszukiwania nie doprowadziły do niczego. Z tego, co mówił w malignie, mogłam wykombinować, że chodziło o pomoc dla jakiegoś kolegi, którego nazywał Heniem. Trzy tygodnie leżał w silnej gorączce, stan jego ciągle się pogarszał, nareszcie przesilenie wyszło na dobre. Leżał jeszcze kilka tygodni, poczem szybko począł wracać do zdrowia. Kiedy już mógł poznać blizkich i mówić, pierwszym jego słowem było:

— Babka da 300 franków?

Pieniądzy nie miałam znowu. Resztę pochłonęły wydatki na leczenie chorego, mimo to powiedziałem, że dam i starałam się wszędzie o pożyczkę. Pewnego wieczora powiedziałam mu, że jutro będzie miał żadaną kwotę, bo posłę na zastaw swoje srebro. Podziękował mi wzrokiem. W kilkudziesięciu słowach opowiedział, że poznał na uniwersytecie paryskim rodaka-studenta, który był jego przyjacielem; pomimo, że przymierał często z głodu jak przypuszczał, nie zdradzał się z tem. W grudniu poprosił go o pożyczanie 300 franków, ale Felek nie miał, potem już nie wspominali o tem, lecz przyjaciel jego zdawał się coraz bardziej zapadać na zdrowiu. W lutym prosił go jeszcze raz o 300 fr. Felek już nie pisał do mnie: w tym czasie odebrał od adw. Potrzebskiego zawiadomienie o śmierci ciotki, i wrócił do kraju. W Warszawie poznał się z kilku złotymi młodzieńcami, którzy przyjechali z nim tutaj. Tegoż dnia pojechał z nimi do Siedlec, odebrawszy 500 rubli i nie przywiózł ani grosza.

— A list ten?—zapytałam.

— List był od tego przyjaciela. Pisał, że ze wstydem musi przyznać się, ale przymiera z głodu, nie ma butów, pieniędzy, ani dachu nad głową...

Staruszka zamilkła, jakby chcąc nabrać siły do uprzytomnienia sobie dalszych zajęć.

— Opowiadał to ze smutkiem—ciągnęła dalej po chwili—znać było, że mu to przychodzi z trudnością.

nę najprzód uderzyć wypada? Bo nie wątpię ani chwili, że w głowie naszej myśl o bezsilnem opuszczeniu rąk nie powstanie.

Do pracy wielkiej, o szerokim zakresie nie jesteśmy przygotowani teoretycznie, wreszcie warunki ekonomiczne, zły stan interesów nie pozwalają nam podnosić oczu zbyt wysoko. Tyle bied się na nas wali, że już ta ziemia, o którąśmy dotąd opierali się całą siłą, zaczyna się usuwać z pod stóp naszych, o nią więc, o byt nasz, oparty na ścisłym z nią związku, powinno nam chodzić przede wszystkim.

Dotychczasowy zarząd Towarzystwa, zakreślając szerokie koło dla swojej działalności, może zbyt mało zwrócił uwagi na wymagania i potrzeby tej najliczniejszej części jego członków, która stanowi rdzeń naszego stowarzyszenia. Mam tu na myśli właścicieli średniej wielkości folwarków.

Ogólny upadek ekonomiczny kraju, brak kredytu brak wszelkiej opieki nad interesami dostawców zboża i mięsa i innych produktów rolnych na rynki miejscowe, stopniowo doprowadza własność średnią do ruiny.

Posiadacz średniego folwarku już nie ma czasu na teorje, nie może myśleć o sprawach ogólnych, bo całą jego istotę absorbuje kwestja bytu.

Odluzenie ziemi wzrosło do niebывалych dotąd rozmiarów: z ogólnej przestrzeni, należącej do własności prywatnej w naszej gub. w ilości 335,822 m. już w 1893 roku dług Tow. Kredytowego obciążał 310,163 m.; wolnych więc od długu pozostawało zaledwie 25,659 m. a dziś niema już i tego. Jeżeli przyjmiemy pod uwagę stosunek wysokości rat do dochodu z ziemi przy obecnym stanie naszych majątków, to zgodzimy się wszyscy, że większość właścicieli żyje już dziś na swych majątkach na kredyt—reszta... to tylko dzierżawcy folwarków, opłacający rentę właścicielom listów zastawnych.

Zgłębiając więc stosunki naszego ziemiaństwa, należy zawsze wychodzić z założenia, że faktycznymi dziedzicami ziemi w dobie obecnej są niemający z nią nic wspólnego kapitaliści.

Zdają się to rozumieć wyższe władze Towarzystwa Kredytowego i w zarządzeniach swoich ich tylko interes

Potem się rozweselił, poprosił o herbatę. Miałam mu ją podać do łóżka, gdy Mania stanęła przy nas z telegramem. Felek chwycił go pośpiesznie, rozdarł markę i po paru sekundach z gardła jego wyrwało się rżenie. Opadł na poduszki, trzymając przy piersiach w zaciśniętem ręku telegram. Wydarłam mu go przemocą i z podartego papieru ledwo mogłam wyczytać: „Henryk Kłosiński umarł wczoraj o 2 w nocy. Sekcja stwierdziła śmierć z głodu. Durois“.

Teraz nie chorował długo. Po paru dniach już chodził, lecz zdawał się nie poznawać nikogo. Rysował banknoty 300-frankowe i nosił na pocztę. Tak już mija jedenaście lat.

Skończyła. Siedzieliśmy milcząc w napół ciemnym pokoiku. Po twarzy staruszki płynęły łzy i z cichym szelestem spadały na piersi.

Suwałki, 3 listopada 1908 r. Koniec.

mają na względzie. A przecież instytucja Tow. Kr. Ziemskiego powołaną została do życia przez ziemian w ich interesie; dzisiejszy zatem kierunek tej instytucji nie odpowiada ani jej celom, ani zadaniom; nie odpowiada także jej czysto bankierskim widokom, chociaż główni kierownicy zdają się tego nie spostrzegać.

Wartość listów zastawnych opiera się w prostej linii na wartości ziemi, o ile więc ta ostatnia upada i dochód z niej zmniejsza się, o tyle zmniejsza się gwarancja wypłaty kuponów i pokrycia wartości papierów.

(d. n.).

St. Staniszewski.

E. Sokołowski i jego odczyty w Suwałkach.

Stosownie do zapowiedzi, umieszczonej w № 46 naszego Tygodnika, w dniu 26 i 27 listopada miały miejsce w sali Resursy obywatelskiej dwa odczyty p. Sokołowskiego p. t. „Napoleon I“ i „Fryderyk II“.

Wybierając jako temat odczytów dobrze znane w szerokich sferach społeczeństwa naszego postacie dziejowe, prelegent na tle historycznem narysował rozwój idei, jakich każdy z nich był przedstawicielem, wiążąc dzisiejszą sytuację polityczną narodów europejskich z ogniwami łańcucha, ukutego przez nich.

Zasługą Napoleona I, według słów prelegenta, było burzenie i niszczenie zapleśniałych murów średniowiecznego ustroju państwa europejskiego.

Na starych gruzach poczęły się wznosić fundamenty pod nowe gmachy ustroju demokratycznego, a chociaż wzrost ich trafiał na ciągłe przeszkody, chociaż z trudem wznoszone ściany nieraz waliły się pod naporem sił reakcyjnych, kamienie, umocowane w nowym fundamencie, oparły się wszelkim burzom i po dziś dzień stanowią podwalinę budowy nowego państwa—państwa, którego celem jest szczęście narodu.

Fryderyk II to uosobienie niskich instynktów w polityce, której celem jednakże jest siła i rozwój ekonomiczny państwa pruskiego. Wielkim on był dla Niemiec, bo położył fundamenty pod budowę potężnej państwowości kraju; dla nas—Polaków, pamięć jego, jako inicjatora rozbiorów, będzie na wieki przeklętą.

Tyle o treści odczytów—choć treść owa była bogatą i świadczyła o głębokiej erudycji i znakomitej pamięci prelegenta. Nie powtarzam tu jego myśli, pozostawiając jemu wyłącznie prawo ogłoszenia przed szerszą publicznością owoców kilkoletniej pracy, dla mnie odczyty Sokołowskiego mają inne, głębsze znaczenie. Dzisiaj, kiedy inteligencja nasza przekreśliła już owe „przeklęte kwestje“, zaprzatające umysły w ciągu lat ostatnich, i wyrzuciła z duszy swej wszystko, nieukładające się w ciasnych ramach brutalnego egoizmu, postaci podobne do Sokołowskiego, należą do rzadkości... To potomek mamutów, których kości bieleją na San-Domingo, pod Samo-Sierrą, pod piramidami, na polach Waterloo, Lipska, na dnie Berezyny, w podziemiach Nerczyńskich i tajgach syberyjskich. Potomek w prostej linii tych szaleńców, którzy w imię dobra powszechnego, w imię miłości ojczyzny składali na ołtarzu ofiarnym swoją młodość, swoje zdrowie, swoje siły... nie przeczuwając, że przyszłe pokolenia, obliczając dorobek kulturalny narodu na grosze,

będa, dotykały końcem lakierka wyschłych szkieletów, i oceniają ich wartość jedynie z punktu widzenia fabrykantów sztucznych nawozów pod jęczmień dla browarów.

Tak, Sokołowski to śmieszny zaiste człowiek... Zamiast poświęcić się w całości idei napychania worka, haruje jak koń pociągowy w redakcjach, w instytucjach społecznych, studjuje dzieła, a potem rozjeżdża po kraju, aby zdobytem ziarnem podzielić się z braćmi, aby wśród tej braci rzucić iskrę płomienia, który wypełnia jego wielkie serce. I praca jego nie przepada bez śladu. Jak powalone burzą kłosa podnoszą się pod ożywczymi promieniami słońca, tak pod wpływem jego szlachetnego zapachu podnoszą się od trosk codziennych głowy słuchaczy ku słońcu wielkiej idei miłości Ojczyzny, idei... na której sztandarze świecą krwią i łzami haftowane słowa: „Praca u podstaw“. Dla mnie odczyty Sokołowskiego to probierz myśli obywateli i obywaterek naszego miasta, to jakby egzamin społeczny z odpowiedzi na temat, czy czuć i myśleć pragniemy. I sprawiedliwość każe przyznać, że gorące słowa i myśli prelegenta nie pozostały głosem wołającego na puszczy. Szczelnie wypełniona sala, wyraz skupienia na obliczach słuchaczy, gorące oklaski i wyrażone życzenia przedłużenia odczytu były najwymowniejszym świadectwem potrzeby pokarmu duchowego, poczucia konieczności odświeżenia myśli, zatechłej w codziennych troskach i kłopotach, jakie odczuwa nasz ogół, pozabawiony lub może tylko odzwyczajony od rozrywek tego rodzaju. Odczyty Sokołowskiego były jeszcze do pewnego stopnia jakby żywą ilustracją tej prawdy, że u nas, na prowincji, najsilniej czuć i myśleć umieją kobiety. Przyglądając się bacznie tym dwom, że tak nazwę, grupom społecznym: męskiej i kobiecej, nie można nie zauważyć, że o ile pierwsza zapada w apatię i tępieje umysłowo, o tyle wśród drugiej wrota coraz silniej życie i rośnie dążenie w kierunku postępu. Aby tę prawdę stwierdzić, dosyć jest przejrzeć listy członków wszelkiego rodzaju instytucji społecznych, dosyć jest zapoznać się z ich istnieniem. Dzisiejsza praca społeczna istnieje i rozwija się prawie jedynie dzięki kobietom. Bez ich czynnego udziału, kołwrót społeczny, puszczony parę lat temu w ruch ręką gorętszych jednostek, stanąłby na czas długi. Mężczyźni toną w apacji i samoubóstwianiu, podczas kiedy kobiety, w dążeniu do równouprawnienia, zagarniają opustoszałe miejsca na polu pracy kulturalnej.

I jeszcze jedno spostrzeżenie łatwo było zrobić podczas odczytów, spostrzeżenie, poprzedzone licznymi faktami życia codziennego, mianowicie—coraz silniejszy rozwój szowinizmu narodowego w naszym zakątku. Tak, szowinizmu, tylko nie pośród Polaków, ale w tych grupach obcych narodowości, które, zamieszkując wspólnie z nami od wieków ten kąt naszej ziemi i zarzucając nam ciągle brak zainteresowania się ich losem, bojkotują wszystko, co polskie, nawet zdobycze na polu wszechświatowej kultury.

Tyle wrażeń wyniosłem z odczytów E. Sokołowskiego. Zbogaciły one umysł, rozdmuchały płomień uczucia, tlejący na dnie naszej duszy i kazały uwierzyć w tę prawdę, że naród, chociażby nawet nie miał własnej politycznej formy, żyje jednak i żyć będzie, jeżeli ma swój język, literaturę, naukę, jeżeli umie praco-

wać i posiada ludzi, którzy o tej prawdzie przypominają nam będą.

Niezależny.

KORESPONDENCJE.

Obrzydłówek.

Panie Niezależny,

Czytywałem niegdyś Twoje kroniki i zastanawiając się nad ich treścią, doszedłem do wniosku, że jesteś niesprawiedliwym. Ton ich, nieraz beznadziejny, nie odpowiadał treści. Krytykowałeś życie—a skoro krytykowałeś, już ten sam fakt dowodził, że ono istniało, że płynęło waszem korytem... Zajrzyj do nas... Posiedź, a przekonasz się, że po dłuższym pobycie w naszych stronach nawet krytyki nie napiszesz, bo krytykować nie ma czego. Są tu ludzie—żyją, to jest chodzą, ruszają się, jedzą, nawet asystują czasem paniom na spacerach... ale pozatem nic. Gdyby nie poczciwy dobrodziej, który, przemawiając do chłopków z ambony, przypomniał im o jubileuszu Świętochowskiego zapomnielibyśmy zupełnie, że żyjemy w świecie, wśród którego ścierają się namiętności, wrota walka i brat przeciw bratu powstaje...

Śród martwej ciszy naszego zakątka od czasu do czasu odzywają się alarmowe dzwonki, sygnałki... W miasteczku się roi, wszyscy czegoś oczekują, wyteżają słuch, wzrok, stają w skupieniu ducha i po pewnym czasie dowiadują się, że alarm był fałszywy... Przed dwoma laty alarmowy dzwonek zapowiedział w Obrzydłóweku „Uniwersytet dla wszystkich“, inaczej—serje odczytów z rozmaitych gałęzi wiedzy, ilustrowane pokazami. Już wszystko było gotowe, obawiano się jedynie o brak słuchaczy... i czekano, czekano, czekano, aż wreszcie doczekano się zawiadomienia od władzy wyższej, że uniwersytet dla wszystkich zamknięty. Wszyscyśmy wtedy odetchnęli, bo z zamykaniem nie mieliśmy kłopotu...

W ten sam sposób zorganizowaliśmy odczyty w Czytelnicy, biurze stręczeń, kuchnię współdzielczą i wiele, wiele innych pożytecznych rzeczy. I byłoby już zupełnie dobrze, gdyby nie Towarzystwo Rolnicze. Zachęcona przykładem innych działaczy na niwie społecznej, Rada uderzyła w dzwon alarmowy. Na głos dzwonu stawili się do apelu ci wszyscy, którzy słyszeli głos jego przed dawnymi laty, kiedy to jeszcze zwoływał do boju... Stanęli przed drzwiami i zdziwili się. Serce jego się rusza, uderza o ściany, ale przy sznurze niema nikogo, ktoby objaśniał, poco dzwon bije... Przebrzmiał sygnał, serce stanęło—a tych, którzy uderzyli na alarm, nie było... Nie będę jednak niesprawiedliwym i przyznam, że wszyscy spotkali się potem przy wspólnym obiedzie i... dziwili się, że są jeszcze naiwni, którzy w alarmy wierzą.

I znów cicho i spokojnie w naszym Obrzydłóweku. Mamy tu szkółkę, wiesz, taką szkółkę, o której ojcowie i matki nasze opowiadali nam bajki, układając do snu w kolebkach. Kiedy ją otwierano, płakaliśmy, tak nam dziwnie kołatało serce... tak kołatało, jak dzwonek alarmowy. Biedne serce!... nie przeczuwało, że dzwonek fałszywie kołata... Biegają do tej szkółki starsi, upojeni wspomnieniem matczynej bajki, stają przed nią—i płoną... bo w szkole... coraz puściej... coraz mniej dzieci... coraz

chłodniejsze jej ściany...

Wyszedłem na ulicę — patrzę, snują się jakieś cienie: wychudłe, z oczyma zaropiałemi od wiekowej ciemnoty, wyciągają rękę, żebrzą o trochę wody do przemycia oczu, o wskazówkę, kędy droga... Obok nich przechodzą otyli, ubrani w ciepłe palta tak zwani działacze społeczni... Zaczepiani przez biedaków, odwracają się z niechęcią i wstrętem, tłumacząc się brakiem czasu, bo czas to pieniądz. Z pomocą zgłodniałym i ociemniałym rzeszom najchętniej śpieszy... pocziwy stójkowy, pozwala im się razem zebrać, poczytać w Towarzystwie Rzemieślniczym — ale czytać niema komu; pozwala im zakładać stowarzyszenia współdzielcze — ale oni wziąć się do tego nie umieją, bo zaropiałe oczy nic nie widzą. A działacze społeczni wciąż się snują, narzekają na niewdzięczność ludzką i brak pola do pracy...

Zniechęcony do miasteczka, wyruszyłem w pole. Obrzydłówek wokoło otaczają pagórki, pokryte kamieniem, w kotlinach także kamienie, a wśród nich — cel westchnień polityków narodowych, chłop polski ugania się za koniem, zaprzężonym do drewnianej brony. Podchodzę bliżej. Chłop przygląda mi się z nieufnością, z niechęcią. Zapytany, narzeka na złe czasy, na brak pomocy w kółkach rolniczych, na brak zainteresowania się jego losem ze strony tych, którzy tak wiele piszą o nim w gazetach i gadają na wiecach... Kończy zaś słowami: „Panowie postępowi, narzekacie na kościół, na księży, a gdyby nie ksiądz Piotr, to już o nas niktby chyba nie pomyślał; chcecie zdobyć nasze zaufanie, pracujcie z nami i dla nas, pomóżcie księdzu Piotrowi, a jak zobaczymy waszą pracę i waszą miłość dla ludu na własne oczy, wtedy w was uwierzemy“.

Glupi chłop! Tyleśmy nad nim łez wyleli — i narodowcy, i postępowcy, i socjaliści, a on chce, żebyśmy dla niego zakładali kółka rolnicze, a może i kooperatywy — nie rozumie ducha czasu.

Przecież w Obrzydłówniku mówi się o wszystkim, nawet o chłopie — mówi się, mówi, i mówi, więcej wymagać niepodobna, bo gdyby ludzie wzięli się do roboty, nie byłoby komu mówić. A gdyby się nie mówiło, upadłaby moralność, upadłoby przekonanie o własnej wartości naszej, bo czemże ją podtrzymamy. Przecież nie pisaniem... Był czas, kiedyśmy chcieli mieć własne pismo, chcieliśmy za jego pomocą oddziaływać na szeroki ogół, wskazywać ideały, ku którym dąży ludzkość i, podniósłszy wysoko ukochany sztandar, skupić koło niego tych, w czyich piersiach na głos pobudki serce zakolacze... Chcieliśmy tego kiedyś, wtedy jeszcze, kiedyśmy wierzyli we własne serca — dziś wszystko minęło... Czas — to pieniądz...

Słyszałem, że w Towarzystwie Rolniczym powstała myśl podać przed oczy ogółu ziemian te bóle codzienne, które życie na wsi czynią niemożliwym, te braki, które jak czerw podkopują istnienie naszego obywatelstwa. Uwagi miały być nadsyłane na ręce jednego z pracowników do naszego pisma w formie listów — czyżby to był także fałszywy alarm?...

Pewnie fałszywy, albo tak słaby, że głos jego zostanie bez echa. Tyle już głosów przepadło. Tyle żon i matek nie ma co włożyć do ust dzieciakom, marznącym w nieogrzewanych izbach przez czas, póki władze

sądowe ukończą śledztwo w sprawie ich ojców, zamkniętych w więzieniu... Tyle się o tem mówiło... bez skutku — nawet w dzwon nikt nie uderzył...

W Obrzydłówniku jest szpital, w szpitalu dużo niešťęśliwych, z których każdy ma setki niezaspokojonych pragnień. W mieście jest dużo pań o litościwym sercu — litują się nad wszystkim, nawet nad temi, co dużo spacerują... W szpitalu braknie czasem bielizny, braknie opieki dla chorych, pociechy, książki, gazety — może to plotki?... Ja nie wiem...

Po Obrzydłówniku kręcą się żebracy — tacy mali ośmiodziesięcioletni — kręcą się, żebrzą, bo kraść nie mają jeszcze siły, a ogół? Pocziwy ogół patrzy z rozrzwiniem na te biedne istoty i czasem grosz im rzuci, czasem ofuknie. Zająć się nimi niema komu... Mamy na głowie ważniejsze sprawy, strzeżemy moralności...

I dużo, dużo pięknych rzeczy można spotkać na ulicach Obrzydłównika, tylko niema się komu nad tem zastanowić... Ludzie tu są, nawet z głową, brak im tylko trochę tego ciepła, które wytwarza się pod wpływem odczucia bólów i krzywd cudzych, brak tej nitki, która wiąże ludzkość w jedną rodzinę — w rodzinę, której członkowie odczuwają wzajemnie swoje cierpienia... Może, gdybyś głębiej poszukał, znalazłbyś ich trochę, ale kryją się oni w obawie przed tłumem, który okrywa śmiesznością to, co jest pocziwe, a prześladuje to, co jest słabe... Na sentymenty niema czasu, bo czas — to pieniądz.

Vale —

Przyjaciel z Obrzydłównika.

Z dziejów młodej Rosji.

Ciąg dalszy.

Rozpoczyna się nowy okres — okres Zubatowszczyzny. Nowy system, zainicjowany przez byłego naczelnika moskiewskiej ochrony Sergjusza Zubatowa, miał za zadanie odciągnąć masy od partji socjalistycznych przez poparcie ich w walce ekonomicznej i zakładanie legalnych stowarzyszeń pomocy wzajemnej robotników. Poprzedni, czysto ekonomiczny charakter ruchu pomógł do powodzenia Zubatowszczyzny. Trwało to jednak niedługo. Zorganizowani przez zubatowców robotnicy zażądali realizacji walki ekonomicznej i kierownicy ich wpadli we własne sidła. Volens nolens zaczęli organizować strejki. Ta pierwsza próba nie mogła się obyć bez gwałtownych ekscesów. Rezultaty były do przewidzenia. Fabrykanci udali się ze skargą do Petersburga, agenci Zubatowa znikli z widowni, a ciemna masa padła ofiarą. Znikły złudzenia i nieuświadomione dotąd masy zapełniły szeregi zorganizowanych pod czerwonym sztandarem robotników. Gorzej jeszcze skończyła się ta zabawa w Odesie, no i oczywiście w Petersburgu, gdzie, jak wiadomo, doprowadziła do pochodu Hapona.

Cały kraj, wszystkie stany i klasy były w ogniu. Biurokracja walczyła przeciwko wszystkim, tłumiąc wszelki objaw wolnej myśli, wolnego ducha. Lud z okrzykami rewolucyjnymi wylegał na ulicę, lała się krew strumieniem. W takim czasie, być może chcąc w uczuciach patryjotycznych ludu rosyjskiego utopić objawy niezadowolenia, rząd zaplątał się w wojnę z Japonją.

Nie zważając na iście bohaterskie poświęcenie się wojsk rosyjskich, Japonja stale, systematycznie pobijała Rosję i przewagą oręża, i rozwojem i wykształceniem żołnierzy, i poczuciem obowiązku swych oficerów i generałów, biła całym swym ustrojem politycznym, kulturą, cywilizacją. Niesłychane w dziejach klęski na lądzie i morzu obnażyły wadliwość całego aparatu państwowego w Rosji i zamiast uspokojenia doprowadziły do większego jeszcze rozjątrzenia. Plewe ufał w swoją „ochranę“, w nieodstępnie towarzyszących mu agentów. Zawiódł się jednak: 15—28 lipca 1904 r. w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał, ugodziła weń bomba, rzucona przez wysłańca partji socjalistów—rewolucjonistów—Sazonowa. Ale na wieść o śmierci Plewego na całej przestrzeni państwa dały się słyszeć zupełnie nieukrywane głosy ulgi i radości.

I rzeczywiście, od chwili tej śmierci odczuwać się daje pewien zwrot w polityce w kierunku ustępstw. 11—24 sierpnia 1904 r. wydanym zostaje manifest, znoszący nareszcie haniebny przeżytek czasów pańszczyźnianych—karę cielesną w stosunku do włościan. Drugim aktem, zwiastującym zwrot w wewnętrznej polityce było zamianowanie na stanowisko ministra spraw wewnętrznych ks. Światopełk—Mirskiego, przy którym zaczęła się „wiosna“ burżuazyjnego liberalizmu. Odpowiednio przygotowawszy grunt, podniesiono kwestję zjazdu ziemców i przedstawicieli samorządnych miast. Tym razem miano wystąpić jawnie i oficjalnie. Zjazd ten odbył się, zaznaczając „nienormalne“ strony istniejącego stanu rzeczy. Jako środek przeciwko temu zjazd uznał za konieczne następujące zmiany: 1) Wprowadzenie i stopniowe urzędywstnienie zasady nietykalności zarówno osobistej jako i mieszkania prywatnego. 2) Gwarancję wolności sumienia i wyznania, wolności słowa i druku, wolności zebrań i związków. 3) Osobiste, obywatelskie i polityczne prawa wszystkich obywateli imperjum Rosyjskiego powinny być równe. 4) Udział przedstawicieli ludności, jako samodzielnej obieralnej instytucji, w władzy prawodawczej, w opracowaniu budżetu państwowego i w kontroli prawnej nad czynnościami administracji. Ostatni punkt tych uchwał wywołał protest ze strony mniejszości, (71 głosów za—j 27—przeciw), która ten punkt sformułowała bardzo ostrożnie i oględnie: „udział przedstawicieli ludności w prawodawstwach, jako samodzielnej instytucji obieralnej.

Te uchwały, uznawane przez klasy posiadające jako szczyt żądań politycznych, zostały wręczone ministrowi spraw wewnętrznych.

W tym czasie, kiedy klasy posiadające urzędowały zjazdy, wiece, w „nizinach“ wrzenie nie ustawało. Od września 1904 r. rozpoczyna się szereg starć robotników z wojskiem, które kończą się znanym pochodem Hapona 9—22 stycznia 1905 roku w Petersburgu.

Dzień 9—22 stycznia 1905 r. rozpoczął nowy okres ruchu rewolucyjnego. Nie pomogła dymisja, udzielona ks. Światopełk—Mirskiemu, który jako minister spraw wewnętrznych był oficjalnie odpowiedzialny za wypadki; nie pomogło wreszcie zwołanie komisji Szydłowskiego, uważanej przez rząd za szczyt ustępstw. Proletariat odmówił w niej udziału, dopóki nie będą zagwarantowane wszelkie swobody. Od tej chwili grunt dla partji socjalistycznych był przygotowany. Rola ich w ruchu staje się już zupeł-

nie inną. Zapominać jednak nie należy, że cały proletariat miejski i wiejski wraz z rodzinami wynosi zaledwie 15, 5% całej ludności. Przy takim ilościowym stosunku proletariat wyłącznie na własne siły rachować nie mógł i musiał szukać sprzymierzeńca w tej sferze społecznej, która nie mniej od niego odczuwała na sobie istniejący ucisk. Takim sprzymierzeńcem było włościanstwo.

Już na początku pracy niniejszej wskazałem, że reforma włościańska 1861 roku nadała tło całemu późniejszemu ruchowi. Już w VII-mym, VIII-mym i IX-tym lat dziesiątku uwagę myślącego społeczeństwa absorbowały wieści o nieurodzajach, głodach, o zupełnej ruinie włościan o starciach pomiędzy włościanstwem i obszarnikami o lasy, łąki i pola. Ale wszystkie te protesty były bardzo nieznaczne, bardzo spokojne. Lud znosił głód, płacił podatki i czekał lepszej doli. Dopiero w 1902 roku rozpoczęły się groźne rozruchy w połtawskiej, charkowskiej i części saratowskiej gubernji. Włościanstwo z początku prosiło o chleb, a gdy go nie otrzymało, zaczęło burzyć dwory. W 1903 i 1904 r. podpalania i burzenia dworów stały się częstsze, a na wiosnę 1905 roku pod wpływem wypadków w miastach nastroj, stale podsycany nędzą i głodem, znacznie się podniósł. Jak huragan przenosiły się rozruchy z miejsca na miejsce po całej przestrzeni państwa. Władze rozruchy te tłumili, co jeszcze bardziej wzmagalo rozgoryczenie włościan, a straszny nieurodzaj 1905 r. dokonał reszty.

Zupełnie inaczej reagowały na wypadki styczniowe klasy posiadające, a zwłaszcza—szlachta. Z wyjątkiem kilku zebrań szlacheckich, które napomykały o konieczności zwołania wybranych przez szlachtę i całą ziemię rosyjską przedstawicieli dla wspólnych narad rządu z narodem, reszta nalegała na zachowanie „starych stanów“ i wyrażała ubolewanie, że w manifestie 12 (25) grudnia 1904 roku niema ani słowa wezwania do szlachty, ani słowa zaufania do niej.

Zebrań ziemców na ogół zsolidaryzowały się bądź z większością bądź z mniejszością zjazdu ziemian w Petersburgu. (c. d. n.).

K R O N I K A.

Odczyt. Dziś w Czytelni Naukowej odczyt p. Z. Gąsiorowskiego p. t. „Ustrój państwowy i stosunki wewnętrzne Austrii.“ Część I.

Ze Szkoły. W poniedziałek, d. 7 grudnia odbędzie się w Szkole o godz. 8-mej wieczorem wieczornica dla rodzin kształcącej się w Szkole młodzieży. Program urozmaica produkcje orkiestry uczniowskiej, deklamacje i t. d.

Poglądowa lekcja gimnastyki. W niedzielę, d. 29 list. odbyła się zapowiedziana lekcja poglądowa gimnastyki dla starszej młodzieży, która wypadła bardzo pomyślnie. Uczniowie wykazali wielką sprawność i zręczność w wykonaniu trudnych ćwiczeń laskami, na drabinie skośnej, na orczykach oraz szablą. Między innymi na wyróżnienie zasługuje ćwiczenie, wymagające wielkiej zręczności i wprawy, wykonane przez ucz. VII kl. Sobolewskiego. Zebrana publiczność darzyła młodych wykonawców szczerymi oklaskami.

Martwe legaty. W obrębie ziemi suwalskiej funkcjonuje 6 szpitali, w tem dwa w Suwałkach, chrześcijański i żydowski, i po jednym w Augustowie, Kalwarji, Marjampolu i Sejnach. W dwóch miastach powiatowych: Wylkowyszkach i Władysławowie szpitali zupełnie niema, co ludność odczuwa bardzo dotkliwie. Są co prawda zebrane na ten cel pewne fundusze, lecz te spoczywają w Banku państwa. Uruchomieniu ich staje na przeszkodzie to, że władze uznają, iż fundusze te nie są jeszcze wystarczające na ufundowanie zakładów dobroczynnych. Z legatów martwych ziemi suwalskiej spoczywają w Banku państwa następujące: na szpital w Wylkowyszkach 15700 rb., na przytułek w Augustowie 12500 rb., na szpital we Władysławowie 2200 rb., na przytułek w Marjampolu 3300 rb. z zapisu Jotałka i 400 rb. z innych funduszy.

„Gł. War.” № 245.

O F I A R Y :

Popierajcie Towarzystwo Wpisów Szkolnych!

Stałe składki na wpisy dla niezamożnych uczniów Szkoły Handlowej.

Na ręce p. Wład. Kondratowicza złożyli: Wład. Kondratowicz—15 r., Wład. Kulesza—5 r., Henryk Hejbowicz—5 r., Józef Bajkowski—10 r.; jednorazowo: ks. dziekan Smoleński—3 r., ks. proboszcz Hrenczewicz—1 r., ks. prob. Migowski—3 r., ks. Kruwialis—1 r., Ignacy Adamowicz—2 r., Teodorja Niska—3 r., Frank—5 r., książę Woroniecki—100 r., Goldberg—5 r., Modzelewski—3 r.

Pp. L. Klonowski—25 r., hr. T. Potocki—100 r., L. Wnukowski—10 r., K. Kulwiec—3 r., doktorowa Niecińska—6 r. (zebrane), Wietski—6 r., Józef Bajkowski—5 rb.

Na ręce p. Feliksa Paszkowskiego złożyli: pp. Feliks Paszkowski—4 r., Nikodem Koźmiński—2 r., Kazimierz Smoleński—3 r., Stanisław Kaczyński—1 r.

Na ręce p. Stefana Gieysztorza złożono 100 r., P. Bronisława Skapska—12 r.

Na ręce p. Maksymiljana Dąbrowskiego złożyli: pp. W. Szymanin—5 r., T. Tyszka—5 r., ks. W. Palukajtis 5 r., T. Rosenbaum—5 r., W. Zawad.—4 r.

Na ręce p. Kuliszewskiego złożyli: pp. S. Kuliszewski—2 r., Henryk Kuchciński—3 r., Stefan Grzędziński—1 r., Stanisław Truskolaski—1 r. 50 k.

Na ręce Dyrektora szkoły: p. Buczyńska—10 r.; z wystawy obrazów od p. Woźniaka—25 r. 45 k., S. K.—6 r.

Na wpisy dla niezamożnych uczniów Szkoły Handlowej.

Pozostałość ze wspólnego rachunku d. 28 listopada w Lutni—1 r.

Do Muzeum Ziemi Suwalskiej:

P. Marja Krauze—26 monet srebrnych, 16 miedzianych, 1 banknot.

Na Towarzystwo Wpisów Szkolnych przy szkółce.

Pp. Sylwestrostwo Bieńkowscy—5 r.



Ogłoszenia.

**SUWALSKI
Skład Produktów Wiejskich**

przy ul. Petersburski pr. № 73.

Niniejszem zawiadamia Szanownych swych Odbiorców, że oprócz produktów wiejskich, jako to: masło śmietankowe i solone, grzyby marynowane i surowe, ogórki, konfitury, powidła, soki, konserwy z jarzyn i owoców, wędliny litewskie, miód akacjowy i lipcowy—zaopatrzony został na nadchodzące święta B. N. w świeże owoce, bakalje i pierniki warszawskie.

LOKAL NA SKLEP

składający się z eleganckiego sklepu, dwóch pokoi i kuchni, będzie do wynajęcia od 1 (14) lipca 1909 r. Wiadomość u właścicielki domu, ul. Petersburski pr. № 73, w Składzie Produktów Wiejskich.

**DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
ekstrakt i karmelki**

„LELIWA“

w Warszawie, Zielna 21, Tel. 5954. Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Wyszedł z druku podwójny 34—35 numer

„WOLNEGO SŁOWA“

pod redakcją Leo Belmonta i zawiera następujące artykuły:

- 1) Mój Bóg. 2) Myśli zakute w heksametry: Mnogość idei. Rozwój bóstwa, Funkcja a organizm. 3) Piasek filozoficzny prof. Lutosławskiego. („Darwin i Słowacki“).
- 4) Proces ogółu polskiego z poezją w XIX wieku. 5) Portrety symboliczne poetów polskich: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. 6) Przedmowa do esperanckiego przekładu „Aspazji“ 7) Dwie wyspy i „Ruki w wierch“.
- 8) Dlaczego Krzywoszewski wyzwał na pojedynek Laskowskiego. 9) Ostateczny rozłam w partji postępowo-demokratycznej. 10) Drzwi wyważone, które trzeba wywalać. 11) Bajka o śmierci postępowego redaktora. 12) Kurz Chabielski. 13) O noszeniu laski dwa artykuły, (filosemicki i antysemitki). 14) Bywa i taka wolna miłość. 15) Do ratusza! 16) Szach perski. 17) Aforyzmy.

W dodatku: Promienie Roentgena. Nowela z tragedji życia.

Prenumerata: kwartalnie 1 r. 75 k., półrocznie 3 r. 40 kop.

Adres: Marszałkowska 77. Telefon 118, 98.